



Na nartach po pierwszym, spóźnionym w tym roku, śniegu
Zdjęcie Upitwa

Złota księga

I

Pewnego razu ogłosiła pani, że zakładamy „Złotą Księgę”.

— Złotą Księgę? — poczęły wołać dzieci. — A któż z nas ma tyle pieniędzy, aby sobie na taki zbytek pozwolił?

— Złota Księga?

— Księga ze złota?

— Gdzież tam, nie ze złota! — mówi pani i podnosi wysoko w górę całkiem zwyczajny zeszyt, oprawiony w lśniący papier lazuruwego koloru, na którym ręką dziecka wypisała wyraźnie złotą farbą: Złota Księga.

— Kto tę księgę napisał? — woła Broncia.

Pani w górę uniosła zeszyt, by wszyscy mogli widzieć i rozchyła kartę po karcie. Były puste.

— Złota Księga! — leciało z ust do ust i nikt nie mógł zrozumieć, co to za dziwo: „Ze złota nie jest, księgą też nie jest, tylko zeszytem, nic nam nie mówi, bo jest pusta...”

Ależ, dzieci, ależ, dzieci!

Oto patrzcie: przyszłość leci

I przynosi z sobą słowa,

Księga przyjął je gotowa!

Wojtek spełnił czyn szlachetny,

Kazio zaś miał pomysł świetny,

Ten dał przykład, ów jest wzorem.

Wiedzie innych swoim torem!

Pani raport w niej zapisze,

A on pod nim się podpisze

I wzbogaci Księgę Złotą

Swoją własną, miłą cnotą.

— Kto będzie pierwszy w Złotej Księdze? — pytają wszystkie dzieci i patrzą ciekawie w przyszłość.

II

Byli tacy, którzy stali się grzeczni nاپokaz wobec pani, ale ich nigdy do Złotej Księgi nie zapisano. Do Złotej Księgi wpisywano tylko ciche i skromne uczynki tych, którzy się nigdy nie chwala.

Pierwszym, wpisany do Złotej Księgi, był Stach Szermański, a nad jego nazwiskiem widnieje duży, bardzo duży na-

pis: „Ten, który kocha swoją matkę”. O, bo Stach nie widzi świata poza nią! O matce swojej nigdy nie wspomina nikomu, bo to jest „jego” matka, niepodzielnie jego! Gdy jednak była chora, on, ten Stach z podniesioną głową, który woli nie mieć, niż poprosić, poszedł do pani po pozwolenie wyjścia, a potem szedł od ludzi do ludzi, wyciągał rękę, zebrał na jej kurację i uratował ją. Gdy była ocalona, gdy wyjechała na wieś, wrócił do szkoły. Karta Stacha w Złotej Księdze jest ozdobiona jego ręką. Wymalował na niej wszystkie kwiatki, które kocha jego mama.

Drugim, wpisanym do Złotej Księgi, był Marjan. Wpisano go za to, że daje dobry przykład: wszędzie go zawsze pełno, gdzie jest jakaś robota. Gdy małe dziecko pada, on je podnosi, gdy kogoś coś dobrego spotka, on się cieszy, gdy ktoś płacze, on go pociesza.

Trzecim, wpisanym do Złotej Księgi, jest nasz rysownik Broniek. Gdy on prowadzi chłopców do szkoły, pani już nie jest potrzebna. Niech ich tylko zawoła, stają parami i słuchają jego komendy. Broniek umie się obchodzić z gromadą. Pani zawezwała go do stolika. Na jego karcie było napisane: „Ten, który dzieci prowadzi do szkoły”. Podpisał się, a potem wziął Złotą Księgę i narysował ogromnie długi sznur bocianów, które za najstarszym gdzieś w dal lecą.

Czwartą kartkę wypełniła dziewczynka Zosia, która się bardzo psu bała. Wpisała się za to, że raz na ulicy, gdy szła do szkoły i naddbiegł ogromny brytan, zastąpiła sobą małą siostrzyczkę.

Potem wpisała się Stefa za wzorowe utrzymywanie swych zeszytów, potem za najlepiej spełniony dyżur w tym roku szkolnym Sala Wiener. Broncia wpisała się za grzeczne noszenie okularów, do których trudno ją było początkowo przekonać, a Mela za to, że wszystkim opiekuje się jak matka i wszystkim pomaga...

I tak powoli, miesiąc za miesiącem zapelniali się karty zeszytu dobrymi uczynkami dzieci. Zwyczajny, prosty kajet stał się prawdziwą „Złotą Księgą”



(Ciąg dalszy)

— List niesiemy do ciebie, wielmożny panie! A tobie na chwałę słoninki kawałek. Kiedy list przeczytasz i zechcesz pójść z nami, codzień ci słoninki dwa kawałki damy.

Pies okulary włożył na nos i list od myszek przeczytał w głos:

— Ratuj nas, póki czas! Gnębi nas kot niecnota, ratuj nas, wypędź kota!

Kiedy list przeczytał, o nic już nie pytał. Białe włosy najeżył, białe zęby wyszczerzył.

— Gdzie ten kot, co myszki gnębi? Już ja go pochwycę w zęby!

I popędził z całej siły, myszki za nim pośpieszyły.

— Ham, ham. Ja mu dam! Za słoninę, za kielbasę pogrzwe go i nastraszę!

A tymczasem małe myszki uśmiechnięte miały pyszczki. Szły ze strychu prosto nadół. Tup, tup, do pierwszego składu. Jadły z worka kaszę białą, jadły dużo, a nie mało. W pierwszym dniu, gdy wyszły z norek, zjadły kaszy jeden worek. Potem przez noc, w czas niedługi, zjadły kaszy worek drugi. Jadły dużo, a nie mało. Nic się kaszy nie zostało. Przez sześć dni i noc sześć zdążyły już wszystko zjeść.

Odwiedziły drugi skład. Nie pozostał w składzie ślad. Od niedzieli aż do wtorku zjadły owsa osiem worków. Mało jeszcze było szkody! Grzły myszki drzwi i schody. Nocą ludzie w pierwszej sieni spać nie mogli przestraszeni!

Wszystkie myszki tup, tup, tup! Chodzą tam, chodzą tu. Gdzie jest kuchnia, gdzie śpiżarka, wyjadają wszystko z garnka. Z jednego kąta w drugi kat. I tu, i tam. I stad, i stad.

Mysła ludzie:

— Co się dzieje! Czy to strach, czy złodziejstwo?

A tymczasem przez dzień cały gonili kota piesek biały. Czarny kot nymykał w

strachu i po schodach i po dachu. A pies za nim tu i tam gonili, szczełaka!

— Ham, ham, ham!

Słyszają myszki psie szczekanie, jedzą obiad i śniadanie. Oj wesoło im, wesoło!

— Chrup, chrup, chrup, czarny kocie! Teraz jesteś sam w kłopotach! Chrup, chrup, chrup! Co chcesz, rób!

Wrzaski, piski w kamienicy słychać było na ulicy. (c. d. n.)

O gołąbkach w zimie

Puk, puk, puk... ktoś do okna puka. Obejrzał się Wojtuś. Nie widać nikogo. Bawi się dalej.

Puk, puk, znów ktoś puka i woła:

— Grochu, grochu, grochu...

Patrzy Wojtuś, a to za oknem latają gołąbki. Pukają dzióbkami w okno i proszą:

— Grochu, daj nam, Wojtusi, grochu! Śnieg wszystko przysypał, nie mamy nie do jedzenia. Daj nam grochu, daj!

— Bardzo mi was żal — mówi Wojtuś. — Poczekajcie, rozejrzę się po izbie, może coś znajdzie.

W chacie Wojtuś nic nie znalazł. Biegnie co tchu do stodoły...

Dopał pierwszego worka... Groch! Naładował pełne kieszenie. W czapkę też nabral, żeby nie było za mało.

Wysypał Wojtuś groch pod oknem i zawołał:

— Jedzcie, miłe gołąbeczki, jedzcie. Przylatujcie tu codzień. Zawołajcie też swoje siostrzyczki i braciszków.

Zleciało się całe stadko gołąbków. Jadły i chwaliły, że taki smaczny Wojtuś siovy groch.

Wojtuś cieszył się bardzo.



U dołu: W mieście San-Francisko (gdzie takie miasta się zabezpieczyć przed rabusiami, zbudowują swoje oszczędności, w najlepszy sposób uchronienia się od bandytyzmu, jaki w tamtych stronach trasuje.

Idź góry na lewo: Jan Kazimierz — brat Matejki. Czy znacie te imiona? To one Wam mówią?

W środku u dołu: Najstarsze zdjęcie Warszawy.

Dalej na prawo: Członkowie Komitetu Pomocy dzieciom bezrobotnych rodziców wśród dzieci, popijających mleczko, zakupione ze składek całego społeczeństwa w Polsce.

Wyżej: Typowy polski kraj- obraz zimowy.

Jeszcze wyżej: Bokserzy polscy i norwescy po zawodach, w których wygrała reprezentacja Polski.

W środku: Na zdjęciu widzimy Anglika, który postawił sobie za cel zaopatrzenie całej ludności Anglii w maski gazowe. W tym celu ów szluziś, nazywający się Dżelri-Lloid, buduje fabrykę, która będzie produkowała 2 miliony masek gazowych w miesiąc. Maski będą wyglądały tak jak ta, którą założył autor ich projektu i przyszedł fabrykant.



ZKACH

sto leży, czy wiecie?), aż-
no Bank miejski, do któ-
skale. Podobno jest to



Nasze listy

PASIENA'

Ania Mieszkowska. Kochana Aniu, za liścik pięknie dziękujemy, cieszymy się, że o nas nie zapomniałaś, chociaż jesteś już dorastającą panią i chodzisz do gimnazjum. Na liścik Twój odpisuję teraz krótko, ale chciałbym, żebyś do nas napisała jeszcze. Wtedy sobie pogadamy o tych Twoich kłopotach. Dobrze?!

Jadzia Zaszczeryńska. Kochana Jadzińko! Czy Ty, „stara“ nasza przyjaciółko, nie napiszesz nam nic więcej prócz życzeń świątecznych? Przecie dawniej częściej pisywaliśmy do siebie. Napisz nam więcej o sobie, gdzie jesteś i co robisz? Czekamy.

Jadzia Borsukówna. List i życzenia otrzymaliśmy. Cieszymy się, że Ci się podobała książka i że masz taką dobrą cenzurkę. Tylko oż to z rysunkami i gimnastyką? Myślę, że z rysunkami szybko nadążysz i już na przyszłej cenzurce będziesz miała co najmniej czwórke. A gimnastykować się trzeba nie tylko w szkole, lecz i w domu — będziesz wtedy mocna i wszystkie choroby uciekną w las.

Napisz nam, jak Ci się podobała choinka, coście robiły w święta, i jak było w Pasiene. Dowidzenia!

DAUGAWPILS

Cześć Szklennik. Oj Czesiu, niedobry z Ciebie chłopak, zabierasz nam nie tylko nagrody za wyciągi, ale i teraz za. Pyze zdobyłeś sobie książeczke! Nie, nie! To żarty. Bardzo się cieszę, że właśnie jesteś tym dzielnym chłopakiem i naszym wiernym przyjacielem. No, widzisz, u nas ze Świątami było tak samo — śniegu ani odrobiny, aż płakać się chciało. Ale oż, trudna rada! Jak otrzymasz już książeczke i ją przeczytasz, napisz nam, jak Ci się podobał Stach. Ciekawi jesteśmy, czy trafiłiśmy Ci do gustu.

Ściskam Ci mocno łapke i czekam dalszych rozwiązań z wyciągu, który się już niedługo kończy. Wyniki ogłosimy pewno nieco później, niż myśleliśmy. Bedziecie się pewnie niecierpliwiłi, prawda?

Mieczusł Kokin. Mieczusiu, bardzo czekaliśmy Twego liściku! Zapytywaliśmy

nawet o Ciebie Czesia Szklennika, bośmy myśleli, że się z nim przyjaźnisz. Też do nas tylko bare słów. Nie pisz więcej o sobie. Nie godzi się przecie zapominać swych wypróbowanych przyjaciół, prawda? No, tymczasem pa!

Władzio Paszkiewicz. Jak Ci się powodzi, zuchu?! Niedługo pewno będzie śnieg, to pojedziesz sobie na nartach, co? A może tego śniegu zupełnie nie będzie? No, jak nie będzie, to wymyślimy jakąś inną zabawę, prawda? Czy wiesz kto to byli Spartańczycy? Oni też pisali takie krótkie lakoniczne listy, jak Ty.

Zonia Dauksztówna. Za życzenia świąteczne dziękujemy. Pocztówka ze świeczką bardzo ładna. Ale . . . Zoniu, liściki zawsze należy pisać atramentem. Ten, który nam niedługo napiszesz, będzie „atramentowy“, prawda? A czemu, kochanie, nie bierzesz udziału w wyciągu? Jeszcze czas. Weź wszystkie numery Krasnoludków (od 90), rozwiąż zadanka i przyslij nam, co? Wiem, że umiesz je rozwiązywać, tylko się z tym duszkiem przyjaźnisz. Napiszesz nam, prawda?

FEJMANY

Jania Korzeniewska. Pytasz o nas? Pisywaliśmy już nieraz w gazetce, jak wyglądamy, ale napiszemy Ci jeszcze raz. My, z gazetki, wyglądamy tak, jak i inni ludzie, a nazywamy się Krasnalami dlatego, że jesteśmy wielkimi przyjaciółmi dzieci, jak te Krasnoludki z bajek. Do szkół już nie chodzimy, bośmy je już skończyli, ale ciągle się jeszcze uczymy z ksiąg różnych i z życia, a uczyć się przecie trzeba ciągle. Przecie i żuczek i żabka, i piesek i kotek dużo czego mogą nas nauczyć.

Za zaproszenie do Fejman bardzo dziękujemy. Macie tam piękne jezioro, prawda? Myślę, że w lecie może się ktoś z nas w tamte Wasze strony wybierze. Pisz częściej, Kochanie! Ściskamy Cię serdecznie.

Krasnal Długonogi

*Dalsze odpowiedzi na listy —
w następnym numerze*

HRABIĄTKO

Nowelka 1)

Cztery szwadrony nas było, a jeszcze ludzie szli. Nie chlopi wszakże. Szała szlachta, szli oficjaliści, było też trochę lyków. Jaki taki chwytal konia ze stajni albo i z pastwiska, piętami w boki i hajże do jazdy! Ekonomów, gajowych, pisarzyków, gorzelanych ze świecą wtedy po wsiach szukać było, tak gęsto dworski naród pod Rózyckiego szedł.

Ale się i piesi cisnęli. Z tymi była bieda, gdyż broń nie starczała.

— Dajcie wy mnie święty spokój! — krzyczał, chwytając się za głowę Rózycki. — Cóż ja was na rzeź będę prowadził? Nie masz pałasza, to rożen z kuchni bierz, a z golą garścią mi tu nie leź!

Dopiero kiedy się generał z pułkownikiem Ciechońskim rozehodził u Koskowiekich borów, wziął sobie Ciechoński piechurów owych, a u nas się tylko coś z pięćdziesięciu przy furgonach zostało.

Konie mieliśmy dobre. Ogromne trawy rzuciły się w łąkach tej wiosny, a i owsa też nam hojno sypano po drodze.

Osobliwie wszakże tegiego ogiera miało pod sobą „Hrabiątko”.

Chłopczyzna sam watyły niewyrosły, szeszupły, biały i różowy, jak dziewczyna. Ot, sokołatko ze sławnego gniazda, tylko że w palkach jeszcze i beżpióre.

Był z bratem. Wielki ród, wielkie imię, wielka też powinność ojezycznie. I starszy miał pod sobą klacz cenną, na której osobliwsze chody napatrzeć my się nie mogli.

Ale skarogniady ogier „Hrabiątka” był koń wprost hetmański.

Gwałtowny raczej niż piękny, potężnego składu, nozdrza na wiatr, grzywa jak strumień szumiała mu w karku, łeb suchy, nogi jak struny, pod cienką skórą widne żyły drgających bicie. Jeden to był z tych koni, co w dziesiątym pokoleniu jeszcze węższą step i tabun.

— Już ten ma niańkę! . . . wawiał Rózycki, patrząc na „Hrabiątko”, którego mało co i widać było na potężnym ogrze.

— W pieluchach matce detyne to odniesie...

Powiem prawdę, z „Hrabiątka” podrwaliśmy potrosze. Ale go ludzie lubili. Takie to było subtelne, delikatne, a takie

ugrzeczniione, ciche.

Generał zrazu przyjął go do partji nie chciał.

— Do mamy! Do mamy! Na pokojel — wolał, opędzając się ręką, jakoby od osy. — Tu cukierków nie dają.

Ale się Hrabiątko uparło: Z bratem, i z bratem. Tak został.

Zrazu kozaczka luźnego przy sobie panicz miał, który jemu i koniom służył. Gdy się wszakże po obozie obejrzał, że to tam każdy sam pan i sam sługa, a generał także, dał w garść kozaczkowi zapaśną kručicę i do furgonów go posłał.

Już od Połonnego coś sam czyścił ogrą, sam poił, sam karmil i siadłał.

Śmiechu było z tego, że to na wóz czterokonnny nie zabrałby, bo mu to szło—at!.. jak Żydowi rola.

— Patrz, patrz, jak się Hrabiątko na pazury bierze! . . . Patrz, patrz, jaki to Hryć z Hrabiątkal

I tak kołem . . .

A on chłopczyzna czerwienil się, udawał, że nie słyszy, i swoje. Chciałem pomódz nieraz, nie dawał.

— Ja sam!.. Ja sam!.. Ja wszystkim sam!

Ano dobrze.

Kończył się maj.

Po miropolskiej bitwie, gdzieśmy razem z Zaslawczykami nieprzyjaciela znieśli, puścił się Rózycki w pilne i długie marsze za wymykającymi się.

I konie i ludzie strasznie to było strudzone. Ani zsiąść, ani wytchnąć, ani przepopreżyć. — strach, co za mitregał Hrabiątko zmizerowało się prawie że do niepoznania. Z owej to białej, różem lukrowanej łatki, zrobiło się wyschłe, czarne, postarzałe, czerkieska na tem jak na kolku, twarz zapadła, oczy wielkie, smutne i gorące.

— Na mleczko! Na mleczko do mamy! — żartował Rózycki, gdy go tak wygniętym zobaczył.

Hrabiątko przygryzło wargi.

Dzień był parny, duszny, ku burzy się miało. Tuman kurzawy klebił się po dro-

(Ciąg dalszy na ost. stronie)

HRABIĄTKO

dze. Konie rzucały lbami, wyparskując pyły.

Pod wieczór zaciągnęło się niebo het, dokola. Zrobił się nagły mrok, ptactwo polatywało niespokojnie, trawy były wyschłe, pragnące, wielkie zboża sterczały po stronach nieruchomą ścianą.

— Aby do Salichy!.. Aby do Salichy!
— przemówił rotmistrz Marewski, zwróciwszy się do nas.

A już konie utykać zaczęły. Chcieliśmy z siodeł zsiąść, żeby zwierzętom ulżyć nieco. Zaledwie wszakże Dzwonkowski, stękając, zlązić zaczął, kiedy generał obejrzał się, brwi ściągnął, krzyknął: „Marsz!” i poprzód koniem ruszył. Musieliśmy za nim.

Ale jeszcze pierwszy pluton nie dojechał do stojącego na uwrocie krzyża, kiedy się zboże zaruszało, a mały chłopak oklep na żrebacku wynurzył się z niego, i złożówszy ręce przy ustach, huknął:

„...Prusaki we wsi!..”

Poczem przepadł, jakby go nie było.

Skoczył Marewski, skoczył Baranowski i inni, rotmistrzowie poszeptali z wodzem, i ruszyliśmy stępa, w bok nieco poza faliste wzgórze się biorąc, które między nami a Salichą stały.

Tymczasem zaczęło pogrzmiwać. Zrazu z daleka, potem bliżej coraz. Szła burza. Gęsty mrok puścił się teraz na ziemię. Przeszywały go błyskawice nagle, rażące.

Zawichrzyły się zboża, grube krople deszczu zaczęły kapać, rzadkie i ciężkie.

Hrabiątko jechało tuż przy mnie. Z trudnością wstrzymywał swego ogromnego ogra, który się wspinał i rżał w pole. Nagle oślepił nas, ogłuszył błysk i huk. Piorun uderzył gdzieś blisko.

Nigdy nie zapomnę Różyckiego w tej chwili.

Zdjął czapkę, białe jego czoło zaświeciło w mroku, wbił w niebo oczy siwe, wielkimi ogniami płonące:

— Komu ten grom, Boże Wszechmogący? — zawołał silnym głosem. — Nam, czy im, Panie?

— Im!.. Im!.. — krzyknęli nasi.

Hrabiątko zdładło jak chusta.

Generał podjechał ku nam już z dobra fantazją.

— A co? — zapytał. — strach?..

Na chłopca buchnęły ognie. Spuścił oczy i rzekł cichym głosem:

— Nie, generale! Niema strachu!

A wtem łupał deszcz nawałny.

Różycki się śmiał.

Zawracał konia, kiedy Hrabiątko ruszyło ogrem ku niemu.

— Panie generale!

— A co tam, detyno?

— Ja... ja chciałbym... Jabym prosił, żeby mnie generał do pierwszego plutonu odkomenderował..

— Co?.. Co?.. Co?.. — wołał Różycki, cofając się z koniem. — Pierwszy pluton nie dla dzieci!

I nie słuchając dłużej, skoczył rysią.

Rzadko tak pięknej bitwy, jak ta pod Salichą. Ranek po burzy był cudny. Ziemia w rosach świeżych. Pozycja nasza wyborna.

Na górze dla zwrócenia ognia na siebie rozwinął front pierwszy pluton, który zawsze ochotnika dawał, długą, lekko wklęsłą linią. Drugi stał za nim rezerwa w pewnem oddaleniu.

Trzeci i czwarty po obu stronach wzgórza zachodziły flankiem ku wsi, nakryte wyrosłemi jak trzcina zbożami. Furgony stały na tyłach pod wzgórzem.

Nieprzyjaciel musiał w nocy jeszcze powziąć o nas języka, bo się sformował od wczesnego rana.

Na równi stał, w sile czterech kompanji piechoty i czterechset jazdy, mając za sobą wieś i płynącą tuż nia szumnie rzekę.

Wdzieliśmy wszystko jak na dłoni, nawet bez lunety. Sam dowódca, otoczony sztabem, stał u pierwszych plotów.

Zahuczały w dole bębny, zagrały im odzew trąbki nasze. Stanęliśmy w sirzemonach pochyleni naprzód podani, krótko zebrawszy cugle, gotowi do skoku.

Piechota posuwała się ku nam głęboką, czarną kolumną.

Adjutant przeleciał front. Kolumna stanęła na odległość karabinowego strzału.

Zaczerniały gęsto plotem wytknięte lufy. Złe było celować. Żołnierze mieli słońce wprost w oczy. Mrzący blask ich oślepił.

(Dokończenie nastąpi)